

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycina i mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

# NO WINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmiennym piętym w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. i z adpłata 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księ garni H. W. Kallenbacha

## JAK SIĘ U NAS ŻENIA.

Obrazek społeczny.

### IV.

### W SALONIE.

(Ciąg dalszy.)

— Lecz co będzie dalej? ozwał się nagle pan Felix.  
— Co będzie? powtórzyła matka jak echo.  
— Wyżniowa nie długo już wytrzyma.  
— To wina twego ojca!  
— Już to prawda że ojciec najwięcej winien, bo przecież gdyby Wyżniowa była czysta, jabym inną odegrał rolę. Przed kilku dniami na jarmarku w Dąbrowy, gdybym był miał pieniądze... djabełek był gruby, a ten nasz nowy sąsiad pan Szmatkiewicz, gra jak szalony, prawdziwy nówicjusz, jak stworzony do skubania choć już nie młody.

— Ach ten twój ojciec!

I jakby go wywołali. W tej chwili bowiem usłyszeli wesołe gwizdanie jakiejś wojskowej nuty, którą pułkownik szczególnie miłował, dla tego zapewne, że mu bohaterskie przypominała czasy. Tuż po gwizdaniu otwarły się drzwi, i wszedł pan pułkownik we własnej osobie, z miną jak zawsze gęstą, i wesołym uśmiechem na twarzy. Spojrzawszy najprzeciwniejsze twarze matki i syna, głośniejszym parsknął śmiechem, i jak zwykle zawołał!

— Jakoś to będzie!

— Nic łatwiejszego jak gadać, wyrzekła pułkownika z niesmacznym przekąsem.

Synalek skrzywił się tylko i zaczął wszystkie przewracać kieszenie, ażali nie znajdzie choć jednego cygara.

— Tak twierdzisz królowo! odrzekł pułkownik z rubaszną grzecznością. Pozwolisz jednak że ja inaczej twierdzić będę, i na dowód przeczytam wam coś nowego.

— Nudzisz mnie z tą twoją polityką.

— Tu bo o politykę wcale nie idzie, chociaż i polityka ma swoje dobre strony, bo się z niej człowiek uczy wierzyć w niepodobieństwa. Lecz tym razem idzie o list, który odebrałem od poczciwej Werońci.

— Od Kopycińskiej! zawołali razem matka i syn, patrząc ciekawie na pułkownika, który z kieszeni dobywał list zapowiedziany.

— Nie będę wam czytał całego listu, bo mniejsza o czule jej wyrazy, lecz pokażę wam tylko pieczętkę.

— Czarna! zawolali znowu matka z synem.

— I powiem wam krótko i węzłowato że Kopyciński zmarł.

— Umarł! krzyknął pan Felix, a oczy jego zaiskrzyły się nie łzami zaiste, ale nadzieją...

— Umarł! westchnęła pułkownikowa, bo westchnienia zawsze na zawołanie, są wyłączną kobiet własnością.

— *Et perpetua lux luceat ei!* umarł i kwita, rzekł pułkownik. I byłto doskonały koncept jego, na który ś. p. Kopyciński za życia nigdy byłby się nie zdobył. Nie ma co długo gadać, ale mądrze zrobił, bo był i stary i podagrzysta, i nudny i kutwa, i dodał z przyciskiem — zresztą już do niczego.

— To prawda! zawtórowali matka i syn.

Tyle było słów pośmiertnego panegiryku, tyle nekrologu, który od wszystkich drukowanych tem się tylko różnił, że był szczerym i nie obłudnym. Tyle było żalu i żaloby jak zwykle na świecie.

— List sobie przeczytajcie rzekł pułkownik, którego cała treść że zaprasza Felixa aby w zapusty przyjechał do Lwowa, bo ma niepłoną nadzieję, że go tym razem już pewnie wyswata.

— Kochana moja siostra! zawołał braciszek z zapałem. Ja ją zawsze tak mocno kochałem.

— Poczciwa córka! zawołała matka.

— Z powodu żaloby balów dawać nie myśli, ciągnął dalej pan pułkownik, ale dom będzie prowadziła otwarty dla wyższego świata, z którym żyć myśli.

— Nieodrodna córka moja! wtrąciła uszczęśliwiona mamunia.

— Ciekawy jestem, zagadł pan Felix, jak też wielki majątek zostawił Kopyciński?

— Gruby majątek, bo prócz dwóch wsi podolskich zostało stotysięcy kapitału, o którym nikomu ani się śniło i to wszystko żonie zostawił.

— Zacny człowiek!

— I rozumny!

— Kochana Werońcia! skończył braci szek.

— Będzie miała teraz nie mało konkurentów, zauważał pan pułkownik.

— Konkurentów? a jej że to na co? wtrącił syn.

— Chybaby zwarzowała dodała matka. Czy nie dosyć się już nasmakowała tych przyjemności małżeńskich. Wątpię by po jednej próbie... chciała jeszcze zdrową głową kłaść pod ewanielią.

— Dziękuję za komplement, odpowiedział pułkownik ze śmiechem.

— A potem Werońcia będzie pamiętała przecież o Feluniu i o nas.

— Jakos to będzie! zostawmy to na potem, teraz trzeba pomyśleć o rzeczy ważniejszej. Zapusty przed nosem, a więc trzeba wyprawić Felixa. Czy masz tam co pieniędzy? dodał zwrócony do syna.

— Ja znowu..., pieniędzy! ojciec wie że jestem goły, nie mam nawet na cygara.

— Pal fajkę, jak ja, poradził mu stary.

— Ale ojciec może ma?

— Ja i pieniędzy?! mam trzy egzekucje i dwie sekwestracje. Może pani pułkownikowa ma?

— Pan pułkownik mógłby zostawić dla kogo innego takie nieprzyzwoite żarty.

— Słusznie nawet! zostawmy żarty na boku.

— Czyby nie można do Werońci napisać? poradziła pani pułkownikowa.

— Moznaby... ale... ja wolałbym... bo to jakoś nie uchodzi... odrzekł pan Felix, pamiętny na to że już ją przy wyprawie lubieńskiej zarwał i naturalnie nie oddał.

Zasiedli tedy i zaczęli radzić. Rada była walna ale arcytrudna, bo pułkownik mimo dobrego humoru, i swojego: jakoś to będzie, mocno szwankował na punkcie kredytu. Miał w okolicy te sławę, że doskonały do robienia długów ale do oddawania nie tęgi. Rozwiązała się rada, jak wiele innych rad na świecie, a mianowicie u nas z wielkim wydatkiem próżnych słów, i próżniejszych nadto projektów, ale bez istotnego skutku. Zdecydowano że coś trzeba koniecznie zrobić, ale co, nikt z obradujących członków nie wiedział. Jednym słowem teorię obrobiono wszechstronnie, ale część praktyczna została w zawieszeniu. Odroczone ją do szczęśliwszego natchnienia, ad tempora feliciora.

— Jakoś to będzie! zamknął posiedzenie pan pułkownik i rozwiązał radę domową.

A ponieważ pułkownik był arcypraktyczny, jak to już w pierwszej części widzieliśmy, opisując jego dzieje wojskowe, powołał do siebie najpraktyczniejszą głowę w całej okolicy, zacnego Herszka Silberszteina.

Hersz Silbersztein był arendarzem w Wyżniowej. Jako arendarz był żywym ekstraktem tabularnym nie tylko Wyżniowej ale i innych okolicznych włości. Znał na pamięć cały stan majątkowy pułkownikostwa, i sam należał w znakomitej części do passywów Wyżniowej. Dla przebiegłego żyda, gdy się o wszystkich okolicznościach dowiedział, było to jedynym bodźcem więcej, by pomódz pułkownikowizowi; wszak pomagając jemu pomagał sam sobie.

Po długim namyśle, wymówiwszy sobie faktornego ostatnich dwie siwych jałówek, które jakimś cudem zachowały się jeszcze na folwarku wyżniowieckim, wyrzekł z powagą, i tym tonem proroczym, jakiego nasi faktorowie tak chętnie używają:

— Tu tylko Szmatkiewicz jegomościowi pomódz może.

— Ależ ja go wcale nie znam, i żadnej z nim nie mam styczności.

— To właśnie najłepi że wun nie zna jaśnie pana, bo gdyby znał...

— On nie dawno w tej okolicy.

— Właśnie dlatego... odrzekł praktyczny żyd.

I radą jaką dał Hersz Silbersztein najlepiej dowiódł praktyczności swego rozumu.

Szmatkiewicz bowiem w rzeczy samej w kontrakty dopiero nabył w okolicy piękną wieś, puszczoneą za długi na licytacja. Szlachta sąsiedzka sarkala na to, ale Hersz Silbersztein dowodził bardzo praktycznie:

— To właśnie pokazuje że ma duży wun rozum, bo licytacja na to aby ludzie kupowali.

Szmatkiewicz jako *intrus* został przez obywatelstwo bardzo zimno przyjęty, prawdziwie wedle przysłowia francuskiego: jak pies w kręgielni. A że Szmatkiewicz miał majątek nabyty rozmaicie, per fas et nefas, szło mu najwięcej o dobrą komitywę sąsiedzka. Nabywszy majątek chciał nabyć zarazem prawo obywatelstwa między szlachta. Po-oddawał więc wizyty, lecz nadaremnie, bo prócz kilku golszych dzierżawców, żaden z majątniejszych dziedziców nie oddał mu rewizyty. Jeździł po okolicznych jarmarkach i targach, zapraszał, poił, grał w karty i przegrywał nawet; szlachta pila z nim póki płacił, grała póki przegrywał, ale Szmatkiewicz zawsze został dla nich Szmatkiewiczem i nie więcej.

Inny na jego miejscu byłby dawno plunął na wszystko i żył spokojnie we własnym domu. Ale w Szmatkiewicza wlaź najgorszy, a oraz najgłupszy z duchów: *duch ambicji parweniuszowskiej*. O tym duchu moznaby powiedzieć słowami naszego poety:

*Zły duch szepnął ci to słowo,*

*Pan Rewera kiwa głową;*

bo każdy rozsądny rzeczywiście kiwał głową, widząc jak praktyczny Szmatkiewicz, który za pomocą silnej matematyki przyszedł do pięknej wsi, ubiegał się za niepraktycznymi względami szlacheckiej przyjaźni. Już to prawdę powiedziawszy jest to tak to zwana: *plica polonica*, choroba u nas krajowa, od atmosferycznych zapewne lub telurycznych pochodząca przyczyn: to niezdolność parweniuszowskie czepianie się możniejszych. Śnać żeśmy w sobie samym nie poczuli dotąd nic samodzielnego, kiedy gwałtem jak pijani trzymać się musimy płotów. Temi płotami są naturalnie rodowody.

I tak znam jednego Szmatkiewicza, który z dziada pradziada był sobie najprawdziwszym tuż pod cerkwią urodzonym *Szmatką*, i byłby zapewne wiecznym *szmaciem* pozostał, gdyby był rodzinnej nieopuścił zagrody.

Lecz wyszedłszy, jak to mówią, na ludzi, przyszedł Szmatka do wsi, i wnet ze Szmatki zrobił się Szmatkiewicz. Lecz to było za mało dla szmaciarskiej ambicji. Szmatce zachciało się i rodowodów, i herbu. Rodowód znalazł się, bo znalazł się biedny jakiś Szmatkiewicz, który za pieniądze byłby się przyznał do wszystkich Szmatek w świecie; a za pieniądze do jakichże szmatek człowiek nie przyznaje się?

Lecz Szmatkiewicz zapragnął i herbu i to pięknie na pergaminie odwzorowanego. Kazał więc sobie we Lwowie pięknie wyrysować w przekonaniu że ze Szmatki robią Szmatkiewicza. Szczęśliwa uluda!

Tak było i z naszym Szmatkiewiczem, chorującym na powszechną Szmatkiewiczów słabość, do której zapewne przyłożyło się to, że się okropnie nudził na wsi, był bowiem kawalerem obdarzonym jakąś daleką kuzynką, która jednak znowu była za starą by go należycie zabawić mogła.

Hersz Silbersztein, znając z obowiązku swego żydowskiego wszystkie te okoliczności, na nich ugruntował plan rady danej pułkownikowi. I dobrze rzecz wyrachował. Plan się doskonale udał, a rzeczy poszły w takim porządku:

Najprzód i przedewszystkiem dwie siwe jałówki pomaszzerowały z obory pułkownikowskiej do stajni Hersza Silberszteina.

Potem pan pułkownik odbył wizytę u pana Szmatkiewicza w starej wytartej czamarce.

Pan Szmatkiewicz przyjął pana pułkownika w nowin-tenkim fraku: vert de dragon, z metalowemi guzikami.

Panna Urszula, kuzynka pana Szmatkiewicza przyjęła gościa w pomarańczowej sukni, czepku o pasowych wstążkach i szaliku, jak same niebo, niebieskim.

Do herbaty dano: całą traktjernię i cukiernię lwowską, i szynkę i ozór, i marynatę i korniszony, i cukierki i ciasteczka, i pięć gatunków wina, i nową liberyą lokajską z akselbantami i guzikami cyfrowanemi. Po herbacie dano znowu ciasta i konfitury, na ogromnych srebrnych półmiskach i szampańskie wino.

Po winie szampańskiem, Szmatkiewicz wsadził własnoręcznie pułkownika do starej jego drynduli, i aż do łez rozczulony dziękował za wizytę i zaprosiny, jakie odebrał na obiad do Wyżniowi.

Niezapomnijmy, że panna Urszula dygnęła na ganku trzy razy z gracją i rumieńcem.

Obiad u pułkownika był suty, osobiwie co do win, każda bowiem butelka pomimo że w całej Wyżniowej tylko jeden gatunek wina i to istna lura mociumpanie występował, była inaczej etykietowana drukowanemi kartkami.

— Sasiędzka przyjaźń niech żyje! pito na tym obiedzie trzy razy, a wino którem pili, choć było cienkie i kwaśne jak ocet, wydało się słodkie jak miód! W czasie obiadu jeszcze Hersz Silberstein zaprowadził do siebie dwie cieląt, jednego źrebca i dwie furek pasznej słomy.

We dwa dni później Jasiak, ongi za czasów idyllicznych świniarczuk, przerobiony na kozaka, pojechał z listem do Szmatkiewicza na którego adresie wypisane było jak najwyraźniej: *«Mon cher voisin et ami.»*

Nazajutrz po liście odwiedził pana pułkownika sam pan Szmatkiewicz, oberwawszy poprzednio kpa, a jak kronika skandaliczna głosiła, nawet guza od panny Urszuli i wpakował uszczęśliwiony, między dwoma serdecznemi uściskami, panu pułkownikowi pakiet zawierający tysiąc ryńskich. Z tych dwieście zostało w domu pułkownikowskim, a ośmset zabrał ze sobą nasz posagowy bohater.

Pan Felix dla odmiany mody, przyzwoitości i dobrego tonu wyjechał eilwagenem do Lwowa, pożegnany i błogosławiony przez rodziców.

— Nie wracaj Feluniu bez żony, i bez posagu! było błogosławieństwem matki.

— Jakoś to będzie! było błogosławieństwem ojca.

Po wyjeździe syna pułkownik oczywiście nie odwiedził więcej Szmatkiewicza. Szmatkiewicz został sobie nazad Szmatkiewiczem, golszym tylko o tysiąc ryńskich, w dodatku wśmianym przez sąsiadów, którzy o tej sprawie dowiedzieli się wszyscy, i jeden drugiemu pod sekretem rozpowiadali:

Pan Felix więc stanął szczęśliwie w mieście. Żegnając cię goła Wyżniow! bogdaj na zawsze, bo mnie samego już zaczynają te wyprawy posagowe bez skutku okropnie nudzić. Przyznacie sami państwo, że od powieściarzy *patentowanych* niezawodnie tem się różni, iż pierwszy nad własnym dziełem ziewam, i nie każe wam znać to gwałtem zabawnem co jest okropnie nudnem.

A zatem przenieśmy się do Lwowa, stolicy Galicyi i Lodomeryi.

Pani Kopycińska najęła pomieszkanie z wielką przykrością dla siebie przy ulicy szerokiej, w starym jednak domu, bo wszystkie większe i nowsze domy na Syxtusce, ulicy Majerowskiej i jezuckiej pozajmowane były przez adwokatów. Pani Kopycińska choć się urodziła w lichym dworku lichej wioski i wegetowała przez lat kilka pod słomianą strzechą podolskiego dworu, stanęła od razu na wysokości tego stanowiska, jakie zajmuje tak zwana: *haute volée*. Snać miała już do tego wrodzone talenta.

(C. d. n.)

## KOLEBKA I TRUMNA.

— «Zrób mi stolarzu kolebkę małą,  
»Pierwsza to w świecie dla dziecka chata,  
»Więc niech mu stanie ładną, a trwałą,  
»A szczerą będzie moja zapłata.

Stolarz się skoro do pracy bierze,  
Bo któż dla grosza znoju się lęka?  
Skończył, i patrzy... oczom niewierzy...  
Miasto kolebki stoi trumienka.

Czy go w złej chwili czart otumanil?  
Czy go w pośpiechu zawiodła ręka?  
Czarta zażegnał... dłoń własną zgañił...  
Lecz znów mu w dłoniach rośnie trumienka.

Strwożon bezwładne opuścił ręce,  
Bo czuł, jak w trumnie coś z cicha puka,  
A jak stukanie słycać w trumience,  
To jakaś dusza schronienia szuka.

Wziął ją więc w czarną stroić sukienkę,  
Białe krzyżyki siał dla odmiany,  
I gdy już kończył barwić trumienkę,  
Stał przed nim ojciec wielce stroskany.

I rzekł ponuro: „stało się stało!”  
A z ocz mu widać bolesną stratę:  
»W ogień rzuci stary kolebkę małą!  
»Dla dziecka postaw ostatnią chatę.“

B. B.

## Z pamiętników.

I.

Dnia 28 stycznia r. 18\*\* przebyłem granicę, i znalazłem się nagle na ziemi, do której ciągnęły mnie najpiękniejsze marzenia — marzenia podwójne, bo i owej chwili historycznej, i moich lat wiosnianych. Mimo mocnego dosyć zimna i śniegu jaki pokrywał ziemię, wydało mi się wszystko tam daleko piękniejsze i świeższe. Smutna i płaska zresztą okolica w której przebyłem granicę, ubrała się w mojej wyobraźni w jakieś szaty pełne powabu, szaty złudzenia i nadziei.

Pierwszy mój nocleg wypadł u obywatela na granicy mieszkającego. Był to stary kawaler, suchy, schorowany, zatopiony w goścu, pedogrze i księgach lekarskich. Razem z nim mieszkała siostra jego, równie stara, zgryźliwa i sówicie nudna stara panna, zatopiona w kuracyi pana brata, którego niemiłosiernie leczyła wszystkimi wyczytanami, za-

słyszaniem, a zawet przysnionemi i wykompowanemi sposobami. Pan brat był typem chorego, a panna siostra istną apteką. Rozmowa z niemi padła na mój umysł młody, jakby zimny dusz. Oczywiście na wszystko co się działo w ówczas patrzyli ze stanowiska podagrycznego i rumberbarowego. Prawda że i same zdarzenia o jakich tam się dowiedziałem, oblały mię zimną wodą. Tam bowiem dowiedziałem się, że Chłopicki przestał już być dyktatorem, i o wszystkich innych połączonych z tem zdarzeniem przejściach które widoczne dawały świadectwo o słabości ducha i w nim, w którym największe i jedyne prawie pokładano nadzieje, i niestety! w wielu innych.

Ale tyle jest siły elastycznej i zapału w każdym młodym człowieku, że nie tylko sam nie straciłem fantazyi, ale nawet jak zacząłem starym, znudzonym starszkiem przedstawiać przyszłość w świetnych barwach, rozruszałem w nich, mianowicie w samym gospodarzu popiołem zasypałą iskrę patryjotyczną, która mu naprzód do oka wybiegła, a potem ręką ku wąsom pociągnęła.

— Bo to uważasz, przemówił do mnie skrzywiony gospodarz i ja byłem niegdyś w wojsku... służyłem za Kościuszki i pod Dąbrowskim. Ale to byli inni ludzie, inne czasy, i ja sam... przekłeta podagrał... syknął nagle i zamilkł.

Ale wyszedłszy z pokoju wrócił po chwili i przyniósł mi pałasz zapruszony i zardzewiały trochę.

— Uważałem mój młody paniczku tę szabelkę co przywoziłeś z sobą... na żarty chyba wzięłeś to niezdałe narzędzie; ni to rozeń, ni to szabla!...

— Przecież kupilem u G...

— Nie znam tam waszego G..., ale wiem że szabla do niczego. Więc tedy... mój młody wojowniku, zamieniajmy się. Dla mnie naprzeciw pedogry wystarczy i ten oręż, a ty weź moją szablę. Niech się ona wyruszy raz jeszcze w pole z tego domu... bo ja chyba wyruszę tam na wieczne leże zimowe.

Z rodzajem rozrzewnienia od którego dziwnie komicznie odbijało skrzywienie bólu, podał mi szablę. Porwałem, i dobyłem ze starej zaśniedziałej pochwy. To była Augustówka, z cyfrą SAR na jednej stronie, a krzyżem na drugiej. Niezdolny dziś zaprawdę jestem oddać ten zapał, z jakim wpatrywałem się młody w zardzewiałą stal mojego oręża.

Stary uśmiechnął się.

— Oby służyła szczęśliwie tobie i naszej wspólnej.

Nie dokończył, ale zwrócił się nagle, przeklinając świdrujący ból w nodze: poczeiwy starzec chciał przed młokosem pokryć stare lzy swoje.

Szablę postawiłem przy głowie mojej i usnąłem jak się spi za młodu, a marzyłem owemi marzeniami, które serce wówczas podawało głowie.

Nazajutrz byłem w Z.....! Ledwie wylazł z bryczki żydowskiej, aliści otoczony zostałem mnóstwem ciekawej gawiedzi żydków i katolików, którzy mnie na przemian to zapraszali do siebie, to ściskali, to znowu pytaniami i wrzaskiem *zagłuszali*. Przypisywałem tu najnaiwniej marcjalnej facjacie mojej. Ależ bo wyglądałem od stu diabłów. W ogromnej burce kudłatej, opasany augustówką puszczoną jak najdłużej by brzęczała na wysięgi z dwoma półłokciowymi ostrogami, i z dwoma pistoletami, których rurki po Rynaldowsku z za burki wyglądały. Tymczasem było to współczucie, które nie jeden przypomni sobie z tych którzy w ówczas tamtędy przejeżdżali.

Najzawzięciej trzymali się mnie jakiś wąsaty artylerzysta i frackowy jegomość, którego rysy mocno odznaczono, i wymowa zdradzały pochodzenie starozakonne. Jeden i drugi ciągnęli mnie za sobą, aż nareszcie zgodzili się oba po długich debatach, aby zejść do winiarni, której gospodarzem był jakiś krewny frackowego jegomości. Ten ostatni kazał sam dać wina, i nie dosyć że zapłacił wydatek dosyć znaczny, do którego najwięcej się przyłożył kolega artylerzysta, ale w końcu darował mi ze dwa funty prochu, abym jak się wyraził wskazując moje pistolety, miał czem strzelać do tych, s... kozuniów, których jak się zdawało wielkim był antagonią.

— Nowi idą! krzyknął miszures domowy, wpadając z zapalem.

— Tu, tu! niech panowie wejdą! ozwały się krzyki za drzwiami; tam już jest jeden: takiego ma wielkiego szable...

I hurmą otoczeni, weszło czterech młodych ludzi. Jednego z nich pana D. znałem osobiście, i kolegowałem nawet z nim w szkołach; prócz niego byli p. M..., który już nie żyje, p. W..., który gdzieś na wsi żyje teraz spokojnie, i p. S... literat, który w kilka miesięcy dostał się do niewoli, z kąd w rok czy półtora roku dopiero wrócił.

Wielka była radość i niemala pijatyka, której amfitionami byliśmy wszyscy z kolei. Od starozakonego przyjaciela mego dowiedziałem się, że wszystkich ochotników tak serdecznie w Z. przyjmują.

— Bo to są bracia nasi co nam idą w pomoc; wyrzekł z amfazą.

Chociaż miałem wówczas wiele jeszcze uprzedzeń do potomków rodu w Izraela, któremu niedowierzałem, bo przecież Chrystusa umęczyli, uściskałem go najserdeczniej, a za mną i drudzy uścisnęli wśród wylewu trochu łez, a więcej wina.

Rozmowa toczyła się żywo. Przyszli bohaterowie przesadzali się w przechwałkach, na co kolega artylerzysta pokręcał tylko węża od czasu do czasu. Ja byłem najwięcej milczący, nie dla tego aby mnie brakowało na naszej rodzimej fantazyi, ale się jeszcze nie ośmielił, i

nie mogłem się tak nagle z książkowego bohatera jakim byłem do tej chwili, przedzierzgnąć na wojackiego zucha.

Najzawziętym był p. D... który niepospolicie wymyślał a mianowicie na Kozaków.

— Jak paciorki będę ich nawlekał na lancę moją! wyrzekł.

Zazdrościłem mu tego junackiego konceptu. Nie było czego. W kilka miesięcy później, odbywszy całą wyprawę generała Dwernickiego wróciłem znowu do Warszawy, zdybałem pana D... wybierającego się nazad do ojczystej zagrody.

— Cóż to wracasz nazad? zapytałem go; niewystąpiwszy ani razu na linii bojowej?..

— A kto by tu został w tym polskim nieporządku; odrzekł stanowczo. Ten głupi co tu przyjechał, a jeszcze głupszy ten co nie wraca.

W parę dni później wrócił rzeczywiście, dosłużywszy się w Staszowie, gdzie się formowała legia nadwiślańska, rangi oficerskiej.

Nagadawszy się niemala, a napiwszy jeszcze więcej, poszedłem zameldować się generałowi Sierawskiemu, który był wówczas komendantem twierdzy, bo taki był zwyczaj. Moi koledzy byli już pierwej u niego. Przyjął mnie bardzo grzecznie i uprzejmie, i zrobił wielkie na mnie wrażenie siwymi włosami swymi i pocziwą twarzą, a więcej jeszcze szczerem uczuciem boleści, z jakim rozповідаł o Chłopickim i zmianach smutnych zaszyłych w Warszawie.

— Niema szczęścia! niema zgody! powtórzył stary generał. Wam młodym! dodał po chwili widząc niedowierzanie na twarzy mojej, inaczej się wszystko wydaje... może wy się czego lepszego doczekacie...

Radziłem się generała, co mam z sobą zrobić, gdzie się udać, jaką wybrać broń, i do którego zaciągnąć się pułku.

— Jedź prosto do Warszawy, a tam zaciągnij się do pierwszego lepszego pułku.. oczywiście do konnicy, boś za ciężki na piechura; ale do starego pułku! dodał z przyćmieniem. W starym pułku jedynie stać się możesz pożytecznym.

Żem się radził generała, miałem w tym ważny powód. Ledwie bowiem parę godzin bawiłem w Z..., a zdybywały mnie już różne namowy i propozycje. D. i M. namawiali mnie abym został z nimi w Zam., i wszedł do formującej się tam legii. Muszę tu kilka słów powiedzieć o tej legii, bo jej dzieje wpłynęły mocno na wejście moje do oddziału generała Dwernickiego, a potem ja nie dzieje piszę, ale spisuję tylko moje osobiste pamiętki, z tem przekonaniem, że w epoce tak ważnej, jaka była owa epoka, niema tak drobnego materiału pamiętkowego, którenby się nie zdał w czasie.

(C. d. n.)

## Wspomnienia z podróży i wycieczek.

### Przejazd po ziemi Dońskiej.

#### I.

Z niczem się nie da porównać niecierpliwość jakiej doznaje podróżny, pędzony pospiechem i ognistą żądzą ujrzenia co prędzej ukochanych osób i miejsc uroczych, gdzie rozkwitła jego młodość, osób i miejsc, których od lat kilkunastu już nie oglądał. Nie ma wyrazu język śmiertelnych na odmalowanie tego żaru, palącego piersi i skronie, nie dającego po nocach wypocząć strudzonym członkom, wyciągnąć się w miękkiej pościeli strzęsionym pocztową jazdą kościom.

Taką właśnie gorączką byłem trawiony parę lat temu, gdy jadąc w kierunku od Stawropola, razem na jednej pocztowej trzęsącej bryczce z starym towarzyszem broni i wypraw Kaukazkich Hip. Such, wjeżdżaliśmy na ziemię Kozaków Dsońkich. Choć to było w początku lutego, lecz powietrze tak się ociepliło, tak się zrobiło duszno jak u nas wśród czerwca. W krótko ujrzeliśmy daleko na horyzoncie przed nami posępną chmurę, nieruchomą, jak potwór stojący nad stepami i długimi warkoczami deszczu jakby przywiązana do ziemi. Nie długo i na nas dmuchnęła owa chmura silnym wiatrem, rzucając w oczy kurzawę naprzód, a potem nas oblała zimnemi kroplami deszczu. Owinęliśmy się w burki, zakapturzyli baszłykami. Rychło niebo się wyjaśniło. Lecz pod kopytami końskimi ziemia coraz bardziej stawała się ślizka, w miarę zbliżania się naszego ku strefie, kędyśmy chmurę widzieli. Jazda coraz była trudniejsza. Późno, za ledwie nocą, stanęliśmy na stacji pocztowej. Tu wszystko spało snem szczęśliwym. Psiarz stacji na widok naszych kaukazskich burk zerwał się na równe nogi. Rozespany, począł straszliwie ziewać i chwiać się na drżących podstawach bez butów. Trudno się było z nim rozmówić.

Znudzony jego widokiem, mój towarzysz usiadł na czysto lakierowanej sofie drewnianej, oparłszy głowę na poręcz, począł chrapać. Ja też samo nie długo zrobiłem owinawszy się burką dokoła.

Rankiem, ledwie rozwidniło, jużśmy gotowi byli do wyjazdu. Szczęściem, jakoś obeszło się bez zwykłych na pocztach grób i strachów. Konie stały zaprzężone, rzeczy ułożono na teleżce. Zerwaliśmy się tak jakeśmy spali i dalej w drogę.

Lecz droga ta nie była to już owa równa, ujeżdżona, kurząca się wczorajsza droga. Wjechaliśmy w strefę zimniejszą, ziemia do połowy tylko była rozmarznięta od ciepła słonecznego, a prócz tego grunt iłowaty. Konie przeto, jak z początku rzuciły się z całym pędem zwyczajnym sobie, tak później zaczęły przystawać, mocno sapiąc. Nie przeszło godziny, koła coraz mniej się obracały na osiach,

nareszcie cały wóz jakby wrósł w ziemię, konie stanęły. Próżna była wszelka praca. Godzinęszą całą może na nie krzyczeli, oczyszczali z błota koła, którego na szprychach tyle się nalepiło, że z nich uformowały się jakieś ogromne zbite bryły błotniste. Próżne krzyczenie, bicie, łajanie, konie postanowiły zginać raczej pod razami, niż wyciągnąć nas z tej uwięzi. Zwykle w takim razie wiozący wypręgał konie, i udawał się do bliższej stacji pocztowej po inne, świeże, lub po woły, które niekiedy w tej porze roku i do karet są używane. Lecz nasz przypadek miał miejsce na połowie przejazdu. Tak do jednej jak do drugiej stacji przynajmniej dwie było mile. Przy tak złej drodze nimby wrócił z nowemi końmi, lub wołami, musielibyśmy nocować na czystym polu, wśród błota, uwięzieni i wystawieni na przykry wiatr wilgotny.

Potrzeba łamie żelazo, mówi przysłowie, a nam podaje myśl do głowy, myśl nowej taktyki. Depcząc po kolana w błocie, zdejmuję z pomocą wiozącego nas chłopca, który już prawie tak jak jego konie ostatki sił postradał, wszystkie nasze pakunki, układając je na boku drogi. Sam wózek pocztowy dość był lekki, lecz aby z większą pewnością wydobyć się z błota, bierzem nasze konie we trzy ognie, a raczej we dwa ogromne kije i w jeden ogień to jest dwóch nas stanęło z prawego i lewego skrzydła z podniesionemi do góry kijami, a trzeci z lejcami w rękę, z pistoletem skierowanym po nad uszami nieszczęsnych szkap pocztowych. Za danym znakiem huknął wystrzał z dwururkowego pistoletu, kule zagwizdały koło końskich uszu, a kije spadły raptem na ich grzbiety. W tej chwili konie jak lwy porwały z błota wóz, unosząc go prawie na powietrzu. Trudność mieliśmy powstrzymać je na miejscu mniej grząskiem, aby znów ułożyć nasze pakunki i ruszyć w dalszą jazdę. Choć z wielkim mozolem, więcej idąc pieśzo niż jadąc, zabłoceni po uszy, złani deszczem, obmarznięci śniegiem, znużeni, zziębnięci, już po północy przybyliśmy do stacji, zrobiwszy w ciągu ośmnastu godzin niepełna mil cztery.

Pamiętam z jaką radością rzuciliśmy się do ogrzanej stacyjki, umebłowanej, jak wszystkie stacje pocztowe na ziemi Dońskiej, parą kanapek politurowanych bez żadnego wybicia; uszczęśliwieni, że będziemy mogli tu sobie odpocząć ile nam się podoba, wśród wygod pożądanych dla podróżnego, bo ledwieśmy zaczęli rozrzucać nasze burki po kanapkach i przymierzać głowy do skórzanych poduszek, gdy wszedł pisarz pocztowy z oznajmieniem, iż samowar może być gotowym na nasze usługi, a nawet kolacja, choć to już była pora po-północna, i że życzy nam przenocować i wypocząć dobrze po utrudzeniu całodziennem. Zdało nam się z pierwszym wrażeniem, że to z nieba zesłany umyślnie dla nas ten człowiek. Lecz przy zwróceniu uwagi na ton mowy zbyt ugrzeczniający się, na uśmiech jego nie w miejscu, wydał się on nam zagadkowym i niebezpiecznym

Ale sprawy od razu zdać sobie z tego nie umieliśmy. Po-  
dziękowaliśmy mu więc za tę usłużność, tak miłą dla po-  
dróżnych, postanowiliśmy wraz ze dniem korzystać tak z  
samowaru, jako i spiżarni pisarza, jedyne go zarządcy sta-  
cyi, nim się namyślimy ruszyć w dalszą drogę. A sami za-  
snęliśmy tym snem, co to mówią: choć z armaty strzelaj.

(C. d. n.)

### Rozmaitość.

**Ze Złoczowskiego.** Chociaż relacje gospodarcze nie nale-  
żą do pisma belestrystycznego, przesyłam wam w krótkości kilka w  
tym względzie słów, raz dla wiadomości w innych cyrkulach biedu-  
jących gospodarzy, powtóre że takowe będą dla wielu rzeczywicie,  
ale bardzo smutnymi nowinami.

Jeszcze w żadnym roku nie było takiego braku robotnika u  
nas jak w tym roku, jeszcze nigdy tak drogo nie opłacano każdej  
roboty. Zapewnie że wiele przyczyniła się do tego długo-trwała sło-  
ta, która nie pozwoliła ani siana zgromadzić, a tem mniej postać,  
kiedy już żniwa nadeszły; a pomimo to jednak bajeczne prawie ceny  
(jak dla nas dotąd) roboty i tą okolicznością nawet nie dadzą się  
wytłumaczyć. Bo czyż słyshał kto dotąd u nas n. p. żeby kosarzy-  
wi płacić dziennie 30 do 36 kr. m. k. i wódkę, od kopy żętej ozi-  
miny po 24 kr. m. k. nota bene od kopy miniaturowej, bo po  
półtrzecia dziennie wyrzynanej, za koszenie ryży zboża po 4 złr. do  
4 złr. 48 kr. mon. kon. i dwie kwart wódki, a do orania wcale nie  
najmiesz.

Na kilka milowej przestrzeni od Złoczowa do Brzeżan od kil-  
kunastu gospodarzy powyższą cenę wypłacaną widziałem na własne  
oczy bo inaczej wierzyliby nawet trudno, i to od gospodarzy samych  
właścicieli.

Cóż dopiero dzieć się musi z biednymi dzierzawcami lub ad-  
ministratorami mniejszych folwarków, kiedy w większych nawet skar-  
bach widzieć można całe łąny kopami porośniętymi zasłane, całe  
łąny zczerniałej pszenicy już na pniu poroślej, jęczmienia przykle-  
knionego, żyta nie wyżętego: całe łąki kopic, jak plastry deszczami do  
ziemi poprzybijanych, w wielkiej części nawet nie pogromadzone  
przez ulewy już sprzątnione, a nawet łąki nie pokoszone wcale.

Oto nasze nowiny. Jeżeli który z właścicieli pojedynczych  
folwarków pochwalić się może choć w części tylko, mniej  
smutnym stanem swego gospodarstwa, niechże na klęczkach podzię-  
kuje panu Bogu a potem miejscowym okolicznościom, a może i tra-  
fowi, za to: iż od powszechnej klęski jako pojedynczy w wyją-  
tek opatrność wybrał go sobie raczyła.

**Z Przemysła.** Od czterech tygodni zagnieżdziła się cholera  
w Przemysłu i okolicy. Na widok padających ofiar niełitościwą tą  
zarazą dotkniętych wszyscy struchleli, całe miasto pokryło się chi-  
rem. A kiedy już nawet kilku lekarzy wojskowych skutkiem tej cho-  
roby śmiercią uległo, wystąpiła rozpacz na wszystkie twarze. Jednak  
Bóg litościwy nie dał długo uciśnionym rozpaczać. W całym czasie  
grasującej cholery od dawna znany i powszechnie uwielbiany Dr.  
medycyny i innych lekarskich umiejętności mistrz wyzwolony, nieu-  
straszony Wny Ludwik Gębarzewski oddał się bez granic dla dobra  
ludzkości. Wszędzie i tam gdzie najgroźniej ta zaraza swoich ofiar  
żądała, bez względu na niebezpieczeństwo własnego życia, czy bo-  
gaty lub ubogi tą chorobą był złożony, we dnie i w nocy bez pre-  
tensyi dla siebie jakiej korzyści, biegł, ratował chorych i konają-  
cych, i nieodstępował ich bez pomocy swojej, aż przyszli do siebie.  
Jego to poświęceniu się bez granic winni tu są ocalenie swoje od  
niezawodnej śmierci ci wszyscy, których on ratował.

\* Cesarzewicz Jego Mość opuścił Lwów w niedzielę po go-  
dzinie jedynastej z rana. Kilkatysięcy ludzi zebrało się u Willi gdzie  
Arcyksiążę przemieszkował, aby Arcyksięcia jeszcze raz widzieli i obec-  
ni byli przy Jego odjeździe. Temi oznakami przywiązania, tknię-  
ty był Cesarzewicz do żywego. Śród łaż żegnał się z wszystkimi.  
Z takim uczuciem opuszcza się tylko ziemię do której nas najdroż-  
sze wiąże uczucia. Z mokrą od łaż powieką przejechał potem je-  
szcze raz przez miasto i śród licznie na ulicach stojącego ludu udał  
się ku rogatce Gródeckiej, gdzie się z wydziałem miejskim żegnał.  
Łkając od łaż pożegnał tu miasto, w którym przez rok i ośm mie-  
sięcy przebył wieku, który jest wstępem do życia publicznego,  
do obszerniejszego zakresu działania. Tu przez czternaście godzin  
dziennie pracując, czynił studia do swego przyszłego zawodu, tu  
obznajomił się dokładniej także z językiem i literaturą tego kraju, któ-  
ry tak polubił, a zapał i pracowitość z jaką się tym studjum od-  
dawał, pozostanie długo przykładem dla naszej młodzieży.

\* Zapowiedziana na przeszły czwartek processja kościelna dla  
niepogody odbyła się tej niedzieli. Wszystkie parafie z chorągwiemi  
zebrały się w archikatedrze, z kąd ruszono do kościoła bernardyn-  
skiego. Cały front kościoła OO. Bernardynów był ubrany w białe  
i niebieskie draperie w których środku, w miejscu gdzie wchód  
do kościoła, wystawiony był ołtarz, gdzie nabożeństwo się odby-  
wało, a u figury na placu bernardynskim wzniesiono ambonę. Tym  
sposobem kilkatysięcy zgromadzonego ludu udział brało w nabożeń-  
stwie i słuchoło kazania. Ztamąd processja cała udała się przed  
figurę Najświętszej Maryi Panny na Łyczakowie z kąd zmrokiem  
wrócono do katedry. Tymczasem oświetlono tysiącem lamp cały  
fronton kościoła Bernardynskiego. Processje wszystkich parafii udały  
się pojedynczo raz jeszcze przed tenże kościół a do późnej godziny  
nabożnych kilka tysięcy modliło się przed stojącym na wolnym  
miejscu ołtarzu, który jaśniał śród pięknie urządzonego oświetlenia.

\* O podróży Cesarzewicza Jego Mości w wschodnie obwody  
Galicyi pisze Gazeta Lwowska:

Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Karol Ludwik pra-  
gnął przed odjazdem Swoim w powołania na Namiestnictwo Jego  
ces. kr. apost. Mości w Tyrolu, zwiedzić jeszcze dalsze strony i  
okolice tego kraju, który go z taką serdecznością na wstępie witał,  
połyt Mu szczerem przywiązaniem odpłacał, a życzliwością naj-  
przychylniejszą odwdzięczał temu zaufaniu jakie Najjaśniejszy Pan  
powziął, gdy Najdostojniejszy Brata Swego poleciał raczył miłości,  
wierności i przywiązaniu obywatelstwa ziem naszych.

Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Karol Ludwik ob-  
jeżdżając teraz południowe i wschodnie okolice kraju do tej korony  
należące, postanowił w uznaniu przychylniej życzliwości całej pro-  
wincyi zaszczycić obecnością Swoją i odwiedzinami jej Reprerzantanta,  
którego powodom Wola Najjaśniejszego Pana poruczyła Brata  
Swego wprowadzić w zawód spraw i rządów państwa.

Jego ces. Arcyksięcia Mość zatem za przybyciem do Zale-  
szczyk, nazajutrz zboczył z głównego gościńca i drogą prywatną  
przybył do Skały w dom Jego Excelencyi p. Namiestnika jw. Age-  
nora hr. Gołuchowskiego w chęci osobiście wynurzyć panu Nami-  
estnikowi kraju w jego własnym domu wdzięczne uczucia podzięko-  
wania Swego za troskliwość doznaną w ciągu dwuletniego tu pobytu  
Swego, a oraz przyjąć pożegnania bawiącej obecnie z familią na wsi,  
Jej Excelencyi pani Namiestnikowej, jw. Macy z hrabiów Baworo-  
wskich hr. Gołuchowskiej, w dowód uszanowania i pamiętnej gościn-  
ności we Lwowie doznawanej. Arcyksiążę przybył o trzeciej godzi-  
nie z południa, a pragnąc okazać, że odwiedziny Swoje w Skale  
jedynie dla pana Namiestnika umyślił, nie przyjmował nikogo z są-  
siedztwa, lecz tylko z Państwem Gospodarstwem przepędzić raczył  
dzień 12. sierpnia, zajmując się wszystkim, czem się stręczył ustro-  
nie wiejskie a życzliwość gospodarstwa umiła i uprzyjemnia. Tu

także racyły Arcyksiążę przyjąć oraz i nocleg, i dnia następującego poświęcić większą część poranka gościnności Państwa Gospodarstwa; dopiero przed południem o 10. godzinie z pożegnaniem domu, który wyłącznie uwzględnić i zaszczyścić pragnął, opuścił Skałę, i w towarzystwie Jego Excelencyi p. Namiestnika w dalszą udał się podróż.

W przejeździe przez Chorostków tego dnia mieli zaszczyt podejmować Arcyksięcia Jego Mości w swym domu na obiad Ich Excelencye jw. hrabstwo Kaj. Lewicy. Jego cesarz. Mość Arcyksiążę przyjmując z całą uprzejmością wdzięczne powitanie JJW. hrabstwa i obecnych gości: hrab. Siemińskiego i hrab. Baworowskiego Józefa, racyły trzy godzin zabawić, a po obiedzie w dalszej podróży stanąć noclegiem w Strusowie w pałacu jw. Włodzimierza hr. Baworowskiego, który z jasnie wielm. bratem Wiktozem, świetnie na przyjęcie Jego cesarzew. Mości zrobili przygotowania, z całą okazałością przy oświetleniu pałacu i parku podejmowali najdostojniejszego Gościa w obec zebranych gmin, starszyny i urzędników przybyłych z powitaniem i dla złożenia uszanowania swego. Z obywateli mieli zaszczyt witac Jego Mości Arcyksięcia hr. Starzyński Józef i jw. Erazm Korytowski Jego ces. kr. apost. Mości podkomorzy, a którego Jego cesarzew. Mość z szczególniejszej swej łaski nazajutrz w Płotycy odwiedzić i na obiad zjechać racyły. Najdostojniejszego gościa podejmowali w Płotycy oprócz państwa Gospodarstwa jw. podkomorzego Erazma Korytowskiego i jw. jego małżonki, jeszcze obecni z rodziny JJW. hr. Leopold i Józef Starzeńscy.

Z Płotycy stanął Arcyksiążę na noc w Podkameniu w klasztorze OO. Dominikanów, i przyczynił obecnością Swoją szanownemu Domowi Ojców pobożnych gałązkę nowego zaszczytu do tyła, które ten piękny konwent przechowuje w pamięci. Nazajutrz po rannem nabożeństwie i mszy świętej, której Jego cesarzew. Mość w ciągu podróży swojej żadnego dnia słuchać nieomieszkał, wyjechał do Brodów, stanął w domu p. Hausnera, kawalera orderu Franciszka Józefa, i gdzie z powitaniem przybył z nad pogranicza rosyjskiego W. Hackel ces. ros. Radea dworu i Szefer okręgu Radziwiłowskiego. Jego cesarz. Mość zwiedziwszy urzęda, zakłady i osobliwości miejscowe, po obiedzie w domu p. Hausnera, na którym się do 16. osób znajdowało, wyjechał na Złoczów do Lwowa. — Po drodze racyły zwiedzić piękny pałac w Podhorcach jw. hr. Leona Rzewuskiego, i oglądać przechowane tu dawne pamiątki i osobliwości

kaplicy jednej i drugiej. Około drugiej godziny z północy wrócił Arcyksiążę w najlepszym zdrowiu do Lwowa z 15. na 16. lipca.

\* Na dniu 16. Sierpnia zasłało 68. a umarło 29. osób. Na dniu 17. zasłało 61 a umarło 28. Na dniu 18. zachorowało 61 a umarło 29. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5234, a umarło 2582 osób.

**Przyjechali** od dnia 18. do 20. Sierpnia do Lwowa.

PP. Papara Henryk z Zabowych mostów. Wysocki Piotr z Krakowa. Dobrzański Eugeniusz z Milatyna. Frank Ferdynand z Nakasowa.

PP. Mier Felix hr. z Buska. Krzeczunowicz Ignacy z Jaryczowa. Domaradzki Seweryn z Stanimirza. Małachowski Ludwik z Rokitna. Popiel Michał z Jaśnik. Gołaszewski Maciej ze Stanisławowa.

P. Lewicki Józef z Kanina.

**Wyjechali** od dnia 18. do 20. Sierpnia ze Lwowa.

PP. Lenciewicz Erazm do Zadwórza. Czermiński Juliusz do Glinśka. Komarnicki Bolesław do Żukowa. Gottlieb Felix do Brzeżan. Iliński Henryk hr. do Brodów.

PP. Borowski Leon do Krowicy. Waszkiewicz Włodzimierz do Biłki. Komorowski Franc. hr. do Łonczyna. Małachowski Ludwik do Mokrotyna. Stecki Ludwik do Sokołowa. Wysocki Piotr do Hrehorowa.

PP. Jego Ces. Mość Arcyksiążę Karol Ludwik do Wiednia. Papara Henryk do Zubowych mostów. Ochocki Wojciech do Wierzbowa. Ochocki Józef do Dobropola. Zamojski Adam hr. do Krakowa.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 20. b. m. o g. 2. popołud**

Augsburg za 100 złr.	116 1/4	Pożyczka 5%	75 1/2	—
Hamburg za 100 tal. banco	84 1/4	Akcyje banku		962
Londyn za 1 funt szterl.	11 14	Kolej północna		2025
Medyolan za 300 lirów	114 3/4	Obl. ind.		66
Paryż za 300 franków	134 1/2	Nowa pożyczka z loterya		98 1/4
Agio duk. ces.	21 1/4	Pożyczka narodowa		80

**Wczorajszy Kurs Lwowski Gotówka towarem.**

Dukat holenderski	złr. 5 kr. 17	złr. 5 kr. 21
Dukat cesarski	5	19 5 22
Półimperyal zł. rosyjski	9	10 9 14
Rubel srebrny rosyjski	1	46 1 46
Talar pruski	1	45 1 46
Polski kurant i pięciozłotówka	1	18 1 19
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	92	40 93 20
Galicyjskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	70	70 30
5 proc. pożyczka narodowa	79	15 80 10

Nowo otworzony zakład wychowania i kształcenia pańienek

## Karoliny Grzybowskiej

uwidamia szanownych rodziców, iż z dniem 1. Września rozpoczynają się wszystkie nauki, jakie tylko dobre i staranne wychowanie wymagać może.

Blizsze szczegóły u założycielki pod Nrm. 897 1/4 przy ulicy św. Jana we Lwowie. (148. 1—2.)

Ze spadku s. p. Józefa Mayera są pod liczbą 135 2/4 na Majerowskiej ulicy z wolnej ręki do nabycia:

### DWIE KROWY SZWAJCARSKIE, powóz i papuga.

Blizszą wiadomość w tej mierze udzieli się w księgarni pana Kallenbacha przy dykasteryjalnej ulicy. (149 1—3)

(2—3) Einladung zur Subscription auf das (144)

## Illustrirte Familienbuch

zur Unterhaltung und Belehrung häuslicher Kreise herausgegeben

**vom Oesterreichischen Lloyd in Triest.**

Vorräthig bei W. Stockmann in Lemberg.

Jeden Monat erscheint 1 Heft von 4 Bogen Text und 3 Stahlstichen. Preis für jedes Heft 30 kr. C. M.

**Inhalts-Rubriken:** Novellen und Erzählungen. Geschichte. Kunst, Wissenschaft und Leben. Schilderungen aus dem Gebiete der Natur. Reisen. Haushalt, Handel und Gewerbe. Buntzs.

Die Stahlstiche stellen dar: Genrebilder und historische Blätter nach Originalien fremder und einheimischer Künstler, Landschaften und Städteansichten.

Vom 5ten oder laufenden Bande des illustrierten Familienbuches erschienen bereits 9 Hefte.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**